

Janina Król z d. Baranowska, rocznik 1928. Urodziłam się w woj. stanisławowskim. Miłam 5 lat, gdy przyjechalismy do Lwowa, w 1933. Ojciec Karol, matka Wiktorja. Ojciec pracował jako sanitariusz w służbie zdrowia. W 1939 r. miłam 11 lat i chodziłam do 3 klasy.

W 1939 r. mieszkaliśmy na Łyczakowie. To była główna trasa przemarszu wojsk. Wszystko to wydawało mi się straszne. Najbardziej bałam się bombardowania i kalectwa. Bombardowania niemieckie w 1939 były bodaj trzykrotne, kiedy usiłowano rzucić bombę właśnie na ulicę Łyczakowską. Ulicy nic się nie stało, ale byliśmy nieprzytomne ze strachu. Ojciec został zabrany, jak wszyscy mężczyźni w tym wieku, do wojska. Zostało nas dwoje, matka i dziadkowie. Uradzili, żeby uciekać. Nie było jednak gdzie uciekać. Dobrnęliśmy lasami na Winniki. W lesie było pełno polskiego wojska, bo gdzieś się tam kierowali. Pamiętam te pikujące samoloty, które waliły bez przerwy z karabinów maszynowych w ludzi, w bydło, w co się dało. My w strachu, głodni, brudni znaleźliśmy się w Winnikach. Tam przyjęli nas gospodarze. Przygarnęli nas litośnie, bo nie mieliśmy nic ze sobą, nawet żywności. 3 dni szliśmy do Winnik. To było niedaleko, ale nie można było wyjść z lasu na drogę. No i tam przetrwaliśmy parę dni, może tydzień, jak wkroczyli Rosjanie.

Była droga w pobliżu domu, z mostkiem. Zobaczyliśmy, że do tego mostku dojechało paru niemieckich żołnierzy. Na motorach. Zatrzymali się. Dowódca coś im tam wskazał. Wrócili z powrotem. Tak że dalej nie wkroczyli jak do Winnik. I cisza się znów zrobiła. Po paru godzinach, wcześniej rano to było, wjechało wojsko na jakiś małych konikach. Jakies dziwne, wyglądali jak obszarpancy. Wszyscy się okropnie bali, bo Niemcy wjechali elegancko, wytwornie, a ci okropnie się przedstawiali, jak banda jakaś. Może mordować będą? Strach ogromny padł na wieś. Ich było coraz więcej, już dochodziły głosy, więc poznaliśmy, że po rosyjsku mówią. Ale skąd,

dlaczego, nie wiedzieliśmy, bo nie wiedzieliśmy, że taki podział nastąpił. Była ogromna konsternacja.

Rosjanie weszli do ~~XXXXX~~ wsi, zaczęli chodzić po domach. Ja nie rozumiałam po rosyjsku, więc trudno mi było zorientować się, ale z rozmów starszych wiem, że Rosjanie byli zdziwieni, czy to miasto, czy wieś, nie mogli rozeznaczyć, bo Winniki były bardzo ładne. Dla mnie oni byli straszni, mongolskie rysy, takich ludziw życiu nie widziałam. Prawdziwego Rosjanina dopiero później zobaczyłam, bo na razie były same azjatyckie typy. Ale przeszło to dosyć łagodnie. Nic złego się nie stało. Po 3 dniach wiedzieliśmy już, że koniec wojny. Rosjanie zajęli teren, zaczęli się dopytywać, kto, co. Obcym ludziom kazali wrócić do miejsc zamieszkania.

I tak, pieszo wróciliśmy do domu. Na szczęście nic nam się nie stało. Ani naszej ulicy, ani domowi. Niepotrzebnie przeszliśmy taką gehennę. Ale kto to mógł przewidzieć? Ojciec w międzyczasy wrócił, przerażony, że nas nie ma. Zaszli niedaleko za Lwów. Koniec wojny ich tam zastał. Wrócił do szpitala do pracy, po tygodniu bodaj, bo ten szpital zaczął się znów organizować. Nawet trzymali pacjentów z polskiego wojska. Potem ich usunęli wszystkich. Ojciec pracował w pięknym szpitalu. To było sanatorium Kasy Chorych. W pięknym miejscu, na bardzo wysokim wzgórzu, superelegancki budynek. Oczywiście objęła go rosyjska obsługa i dla Rosjan był przeznaczony. Polaków przenieśli do innego szpitala, gorszego. Zdawało mi się, że Rosjanie trochę pobędą i sobie pójdą. To się mówiło. Że to pobratymcy, Słowianie, że niedługo pobędą. Niewiele się słyszało o tym, co się dzieje za Bugiem.

W październiku trzeba było iść do szkoły. Cofnęli nas o jedną klasę. Oczywiście język rosyjski wprowadzono w szkołach. Rosyjski i ukraiński były w szkołach wiodące. Dyrektorem został Ukrainiec.

Mieliśmy dwóch nauczycieli rosyjskich, reszta to byli Ukraińcy. Z polskich nauczycieli nikt nie został. Byliśmy przerażeni, rozgoryczeni. Nie znamy języka. Trzeba było niemal od razu opanować rosyjski. Nikt z Ukraińców nie kusił się, by powiedzieć cokolwiek po polsku. Chodziła m do szkoły Zimorowica. Była osobno szkoła dla dziewcząt, osobno dla chłopców, więc zrobili szkołę koedukacyjną, bo tak u nich było w modzie. Szkołę tę za Rosjan przypominam sobie przykro. W mojej klasie było dużo Ukraińców. Żydzi też byli teraz górą, zaczęli się okropnie panoszyć. Jeśli jakiś Żyd miał coś na Polaka, to lepiej było uciekać, bo długo na swoim miejscu nie pozostał. Donos - i Żyd miał zawsze rację. Nasza mniejszość kurczyła się. Człowiek schowałby się w mysia dziurę. Dzieci i tak bywają złośliwe, a co dopiero, gdy się w domu mówi, że Polacy to gorsza rasa, albo, że "to trzeba wytłuc".

Na początku 1940 r. rozeszła się wieść, że będą wywozić na Sybir. Wyobrażałam sobie, że to musi być coś strasznego, potwornego. Z wioski rodzinnej mego ojca, ze stanisławowskiego, przyszła wieść, że zabrali całą rodzinę Mikusiów, mego ojca szwagra. Niby jako zaможnych. Nie tylko ci Mikusiowie zostali zabrani, ale ich znałam. Mieli gospodarstwo ponad 10 morgów. Byli bardzo pracowici, więc widać było u nich dostatek. Po wsi jednak komisja chodziła i u kogo zastali lepsze warunki, tego uważali za kułaka i trzeba z nim było do Rosji. To wszystko tak na oko. Wiadomo było, że wszyscy pojedą, ale trzeba się było najpierw przyczepić do czegoś tam. A w mieście i po wsiach zaczęło być głośno, że jak ktoś był policjantem, w straży pożarnej itp., to się liczy za dygnitarza. Myśmy się dowiedzieli o naszej rodzinie, dalszej co prawda. To było Zagórze koło Słobody Kąkolnickiej, woj. stanisławowskie. Z tamtej rodziny mało wróciło. To była wielodzietna rodzina. Dwoje dzieci

w wieku 10-11 lat zmarło z głodu, z chorób.. Ojciec, matka, dwoje dzieci wróciło. Mieszkają w Szczañcu, zielonogórskie. Także mąż siostry ojca został zamordowany przez Ukraińców. Ciocia i Mikusio-
wie zamieszkali w tej samej wsi, bo ludzie szukali, gdzie są bli-
scy.

Przypomniałam sobie o Kruszelnickich. Byli wywiezieni ze Słobody Kąkolnickiej. Jasia Kruszelnicka była moją koleżanką zabaw, gdy przyjeżdżałam do stryja na wakacje. Ona z całą rodziną została wy-
wieziona w 1940 r.. 8 osób. Nie wrócili. Ja i nasi bliscy, którzy
mieszkali koło nich nic nie wiedzą. Nie wiadomo, czy ktoś przeżył.

Myśmy przywędrowali później do Bytomia. Mieszkaliśmy tam rok. Tam chodziłam do gimnazjum z panią ^{Haliną Tesienko} Tylko ona wróciła z ca-
łej rodziny. Ona i ojciec. Było kilkoro dzieci, wszystkie umarły
w tajdze. Ona opowiadała swoje dzieje. Ojciec był policjantem.
W pierwszej kolejności został zabrany z całą rodziną. I wyrzucili
ich w najgorszą głuszę. Ona opowiadała, jak oni tam cierpieli, tego
opowiedzieć normalnymi słowami się nie da. To co się da opowie-
dziec jest nie do wiary. Ile cierpienia, krwi, łez. Morzem Tubylcy,
ci którzy się tam urodzili to byli ludzie na pół dzicy. Krzywdy nie
zrobili, ale i pomoc nie potrafili, bo sami w tych warunkach led-
wie wegetowali. Przyjechali tam nie ubrani, nie przystosowani. Tak
że rodzice wybierali między dziećmi, które ma żyć. To było potwor-
ne. Zdejmowali ubrania z innych, żeby jedno dożyło. Może. W pierw-
szej kolejności matki i drobniejsze dzieci szły na skazanie. Kopali
ziemianki. Ale jak tu kopać, skoro ziemia zamarznięta. A wysadzili
ich na gołej ziemi. W tych ziemiankach, gdzie Rosjanie mieszkali
było po kilkadziesiąt osób. Nowych nie było gdzie pomieścić. Rodzi-
ny były duże, po 4-5 dzieci. Ich było 8 osób. Do wiosny, gdy się
robi cieplej dożyli tylko ona i ojciec, cały czas karczując tajgę.
Wtedy, po pół roku, przyjechał jakiś samochód z darami, ale to też

jedna rzecz na 2-3 osoby. Tak że jak jeden się pogrzał, dawał drugiemu i tak na zmianę. Muchomory jedli, gotowali po parę razy i jedli. Mech zbierali i to ich jakos przy życiu trzymało. Kto wytrzymał - wytrzymał, kto nie - umierał. Jej ojciec wkręcił się między tych co czytać, pisać umieli, co słuchali radia - to był inteligent - dowiedział się, że tworzy się polskie wojsko. Szczęśliwie tam dobrnęli. Ojciec podał, że ona ma 2 lata więcej. Przydzielili ją do brygady sanitarnej. Ona była szerokiej kości, ale nie wyglądała na 16 lat, ale na 30-parę. Twarz nabrzmiała, nerki chore. Nie wiem, jak potoczyły się jej późniejsze losy.

Wywożenie było drugim po bombardowaniach panicznym strachem. Ludzi wiozą zimą w makabrycznych warunkach. Tylko połowa dojeżdżała na miejsce przeznaczenia, inni ginęli w międzyczasie. Popłoch się zrobił. Nikt nie wiedział, co ma robić, dokąd uciekać. I tak cały rok. W międzyczasie była ta straszna zima 1939/40. Mrozy 30^o. Śniegi takie, że nie było nieraz kamienic widać. Słyszę kiedyś, przybiega sąsiadka, p. Barowa. A niedaleko od nas był dworzec towarowy. I mówi ona, że na dworcu stoi cały transport wagonów towarowych, a w nich są ludzie. Proszą na wszystko, na boga, o coś gorącego, choćby wodę. No i kto tam pójdzie? Nie dopuszczają ludzi dorosłych. Może dzieciom nic nie zrobią? Mama uszykowała mi bankę kawy z mlekiem. Było nas 6 czy 7 koleżanek. Pobiegłyśmy na przełaj, bo wydawało się nam, że może jakos przemkniemy się do tych wagonów. Nie wyobrażałam sobie, jak to wygląda. Tak były obstawione te wagony, że przy każdym stało 2 żołnierzy z bagnetami. Roulegało się dobijanie, błaganie, jęki. I wtedy taki chłopak z mojej ulicy już pobiegł do wagonu na przeciw, bo tam się uchyliło trochę okno. A my za zaspą patrzymy, co się dzieje. Oni nie wiedzieli, skąd ten chłopak tak nagle się wyrwał. Chłopak rzucił tę bankę, herbata się wylała i wyrwał, ale nie do nas, bo by zaprowadził, tylko w drugą stronę. A ci za nim. Tupali, żeby prędzej uciekał. No i nie mogłyśmy się tam dostać. ~~Ludzie, którzy bliżej mieszkali mówili, że po odjeździe pociągu zostało parę trupów malutkich dzieci~~

tam dostać. Ludzie, którzy bliżej mieszkali, mówili, że po odjeździe pociągu zostało parę trupów malutkich dzieci wyrzuconych i gołych. W nocy wzięli ludzi, kiedy się człowiek najmniej spodziewał. Nie pozwalali się ubrać, ani czegokolwiek wziąć, tylko bosy w koszulach gnali i pakowali w te wagony. Pamiętam, jak się tego bałam.

Przeżyłam też inne momenty strachu. Jeden jak przyjechało NKWD zabrać Jasia Bara. My na I piętrze, oni mieszkali na parterze. Przyjechali zabrać do więzienia. W nocy. Cała kamienica stanęła na nogi, bo oni cicho się nie zachowywali.

Drugi moment przed samą wojną. Siedzieliśmy na tłumokach i czekaliśmy na wywóz do Rosji. Ojca kolega pracował z Rosjanami i przekazał cichaczem, żeby się szykować, bo cały Życzaków ma być wywieziony, ale nie wiadomo, którego dnia. Myśmy tak czekali od miesiąca. Wszystkie obrazy, figurki religijne zanieśliśmy do naszego kościoła parafialnego MB Ostrobramskiej. W ubraniach czekaliśmy. Jak tylko gdzieś samochód podjechał, stanął, to serce w gardle, że teraz to po nas. Siedziało się po ciemku, światła nie wolno było palić. I właśnie wojna niemiecko-rosyjska uratowała nas przed wywiezieniem.

Okropny moment też przeżyłam na parę dni, może tygodni przed wybuchem wojny. Rosjanie zrobili przedstawienie. Wjechali w odkrytym, dużym wozie ciężarowy, Potem mówiono, że to Żydzi albo Ukraińcy, ale w rosyjskich mundurach byli, więc trudno rozeznać. Pijani byli oczywiście. Wjechali, Pan Jezus zdjęty z krzyża, przybity na platformie. Na nowo krzyżowali Jezusa. Nawet Żydzie nie mogli na to patrzeć, chowali się. Na wrzask pijanych żołnierzy wszyscy do okien. A oni tak specjalnie, żeby to jak najwięcej ludzi zobaczyło. I bardzo powoli przejechali gdzieś na dół, pod Winniki. A po jakimś czasie, znowu powoli, wracali koło nas. Jechali do ul. Biwakowej, bocznej Życzakowskiej. To niedaleko od nas. Na rogu

był sklep spożywczy, a po drugiej stronie żydowska bożnica. Koło tej bożnicy natrafili na jakąś minę chyba, bo straszna detonacja aż szyby mało nie powypadały u nas. Potem cisza, nie wiedzieliśmy, co się stało. Każdy bał się wyjść na ulicę. Ale w międzyczasie ludzie byli na ulicy. Mówili, że zniosło ten samochód, że nawet szczątek nie został. I to w dzień było. Później zaczęli szukać, że ktoś coś podłożył specjalnie, ale przecież nikt nie wiedział, że coś takiego się odbędzie. Ludzie byli przesłuchiwani. Ale to było koło bożnicy akurat, nikt tam nie mieszkał. Ciągali ludzi, ale doszli do wniosku, że to chyba coś z czasów wojny 39 r. Ale ciekawa rzecz, tyle samochodów, tyle dział przejechało tą ulicą i nic. Jak o tym pomyślę dzisiaj, to wydaje mi się, że to była kara za to powtórne krzyżowanie.

Do wojny doczekaliśmy w oczekiwaniu na wyjazd na Sybir. Znow były bombardowania, walka. Uciekliśmy na kolonię do znajomych. Zdawało nam się, że tam jakoś przeżyjemy, bo tu ulica była pod obstrzałem. Rosjanie jeszcze byli. Chyba się spodziewali wcześniej wojny, bo zaczęły się jakieś przegrupowania wojsk. Na naszej ulicy ciągle był ruch, ciągle była zajęta przez samochody rosyjskie. Co ciekawego mi utkwilo. W wojsku byli starzy ludzie, albo bardzo młodzi. U nas było 4. 2 młodych i 2 staruszków, no, może takimi mi się wydawali, bo byłam dzieckiem, ale siwi byli i z brodami. Jak ci młodzi wychodzili razem, starzy wysupływali zza kożucha medaliki. Prosiłi, żeby nie mówić o tym młodym, bo za to byli karani surowo. Żegnali się i modlili przy naszym obrazie. Dla mnie było dziwne, że można się tak bać, że ktoś wierzy. A oni się strasznie bali. Dopiero, gdy zobaczyli, że my jesteśmy wierzącymi, wtedy nabrali pewności, że nie powiemy.

Wojna długo nie trwała. Było parę bombardowań. Rosjanie wycofali się bardzo szybko i było parę dni takiego bezkrólewia. W ten dzień,

a może w następny po przejściu ostatnich wojsk, nadjechał rosyjski tank od strony Winnik. Nie było wiadomo, kto to jest. Nie było żadnej gwiazdy, nic. więc wszyscy patrzyli z trogą, co to jest. Ale to tylko dwa tanki jechały. Spokojnie przejechali w głąb miasta. Dopiero wieczorem, czy na drugi dzień przejechały te same, a może takie same. Tak, że myśmy byli ostrożni. Niżej mieszkali koloniści niemieccy. W Winnikach było ich dużo. Prawdopodobnie myśleli, że to już Niemcy. Wybiegli witac z kwiatami. Padło parę granatów i nikt żywy nie został.

W tym samym dniu gruchnęła wieść, że więzienia otwierają. Barowa mając tam syna od razu z wielkim krzykiem i radością pobiegła do więzienia po syna. Wróciła nieprzytomna, rozdygotana, jakby od rozumu odeszła. Tylko krzyczała, płakała, włosy sobie rwała z głowy. W nocy do niej mama chodziła. Dopiero na drugi dzień mogła nieskładnie opowiedzieć. Ja ją lubiłam, chodziłam do niej. Tym razem się bałam i bałam się tego, co ona mówiła. Nie chciało się nikomu wierzyć, że księża byli ukrzyżowani na drzwiach cel. Odór, smród okropny, bo to czerwiec, gorąco. Tak zmasakrowanych ludzi ona nie widziała i nie może tego zrozumieć. A Jasia nie znalazła. Tylko w jakiś zmasakrowanych zwłokach była wystająca chusteczka. Machinalnie ją wzięła, bo coś wystawało, a to była chusteczka z monogramem jej Janka. Po tym poznała, że to on. To ją do reszty dobiło. Nie wie, jak wróciła do domu, którądy szła. Błąkała się ulicami, nie mogła trafić. Późnym wieczorem wróciła, strasznie zmaltretowana. Dopiero ci, co mieszkali w pobliżu, powiedzieli, jak to się stało. Że przez całą noc były straszne krzyki. Mordowali ludzi. Tanki obstawiły i pilnowały więzienie. A Niemców jeszcze nie było. Później Barowa chciała pochować swego Janka, ale już Niemcy zamurowali to więzienie, tak że nie było dostępu, bo to choroby mogły się rozprzestrzeniać. To było na Łackiego.

I druga okupacja się zaczęła. Niemiecka. Niemcy to ludzie całkiem inni. Tamtych trzeba się było bać nawet z wyglądu. W koszarach koło nas było dużo Kałmuków. Całkiem mieli inną mowę, nie można się było dogadać. Ale niemieckiej okupacji też trzeba się było bać.

Szkoły nie skończyłam. Nawet 7 klasy. W listopadzie skończyłam 14 lat. Już były zgłoszenia do Arbeitsamtu. 14 lat się kończy i już na drugi dzień do Niemiec do pracy, albo gdzieś pracować w niemieckim zakładzie. Ojciec mój miał znajomego w Arbeitsamcie i dali mnie do pracy w restauracji. Jakas knajpa podrzędna, straszna. Okropne chwile, ten bełkot pijaków, a ja nie potrafiłam się odgryźć. Wróciłam do domu półprzytomna, obszarpana, obraz nędzy i rozpaczy. Powiedziałam, że nie pójdę więcej, wolę do Niemiec jechać. To jakos przez znajomych załatwili mi pracę w niemieckiej fabryce Egel Osten. Tam szyli kamasze. Pracowali tam Polacy i Żydzi z getta. Na trzy zmiany się pracowało. Trzeba było w nocy iść. Policja, żandarmeria zatrzymywała. A co to dla nich człowieka zastrzelić. Miałam przepustkę, ale dla śmiechu nieraz mnie straszyli. Jak szłam w nocy, czy wracałam z 2 zmiany, to były okropne przeżycia.

Było jakieś polskie narodowe święto. I myśmy się zmówiły z paroma koleżankami, że nie pójdziemy do pracy. Co ja bym tym pomogła komu? Nikt mnie jeszcze nigdzie nie werbował, bo byłam za młoda. U nas w fabryce dużo młodzieży pracowało. Jakas komórka konspiracyjna się zawiązała. Ale nie pchałam się tam, gdzie mnie nie chcą. Tylko ze słyszenia wiedziałam, że jest. Były tajne komplety, ale to też tylko wybrani, znani sobie. A ja nawet mało książek przeczytałam. Bo po 1939 nie miałam dostępu. Koło nas mieszkała fryzjerka z ojcem. Bardzo głodowali. On staruszek, ona też nie pracowała, bo niezbyt zaradna była. Od tej Stefci za mąkę, kaszę

którą nam podwozili ze wsi, dostawaliśmy coś do czytania. Szliśmy z koleżanką na strych ze świecą i tam czytaliśmy na głos. Parę cenniejszych książek przeczytałam w ten sposób. Wtedy, po tym święcie, dyrektor strasznie się na nas darł. Byliśmy we trzy. A głównym księgowym w fabryce był Żyd. Przyjechał w 1939 z Ameryki i tu go zastała wojna. Kulturalny pan. Jego nawet na początku nie zabierali do getta. Dopiero później. On tłumaczył, jak myśmy się usprawiedliwiali. Już nie pamiętam, co mówiłyśmy. I szczęśliwie dla mnie. One dostały nakaz pracy do Niemiec, a na mnie, że byłam najmłodsza, tylko nawyzywał. Ale potem doszłam do wniosku, że i jego żony była przy tym. A ta jego żona kręciła romans z tym Żydem. Kiedyś idąc do kancelarii wpadłam na nich, ale się zaraz cofnęłam. I może to mnie uratowało, że nie powiedziałam nikomu.

Kiedy Żydów brali na rozstrzelanie, chowali się w fabryce. Tam były sterty szmat, ścinków. Wyciągali ich, strzelali na miejscu. To się działo na naszych oczach. Niedaleko była piaskownia. Tam wozili na rozstrzelanie nie tylko Żydów, ale i politycznych. Z balkonu II piętra było doskonale widać, jeszcze jak kto miał lornetkę, mógł doskonale zobaczyć, jak to się odbywało. Czasem tylko dosłownie cienką warstwą ziemi były przykryte te trupy. Tylko zranieni czołgali się do niedalekiej wioseczki. Jacyś Żydzi, którzy mieli masarnię, czy piekarnię tam się przechowali do końca. Okropny był też smród tych zwłok, bo potem już palili trupy.

Moja najbliższa rodzina uniknęła wszelkich tarapatów, tzn. rodzice, dziadkowie i my. I za jednych i za drugich nic się nie stało. Pamiętam taki wypadek. Już byłam starsza. Ojciec mnie brał na wyjazdy po żywność. Braliśmy jakieś ciuszki, żeby wymienić na trochę masła, słoniny, bo był głód. Zresztą za Rosjan to samo. Tyle że wtedy nam ze wsi dowozili, a za Niemców już nie było wolno. Albo się wróci, albo się nie wróci. Ja tak jechałam z dworca Pod-

zaczęły we Lwowie. Podręczna stacyjka. Jechaliśmy tam przed godziną policyjną, bo pociąg był wcześniej rano. A to dosyć daleko, nie można by było zdążyć. Całą noc siedzieliśmy w poczekalni. Każdy drzemie na ławce. Zimno. Nagle wchodzi chyba 4 gestapowców z psami, podpitych porządnie. I urządzą sobie zabawę: idą i kropią ludzi, a ruszyć się nie można, bo by się pies zaraz rzucił. Bili pałkami jednego za drugim, jak kto siedział. Ja się skuliłam w sobie, zamknęłam oczy i tylko się modliłam. Obok siedziała jakaś babina. Strasznie krzyknęła, kątem oka widziałam, że gdzieś w okolicę ją uderzyli. A mnie i ojca ominęli. Nie wiem, dlaczego. Ale oni dalej bili, szaleli. A nam nic się nie stało. I tak pojechaliśmy na wieś. Jakoś szczęśliwie wymieniliśmy to, co mieliśmy. Oboje obładowani. I tuż przed stacją towarową, gdzie stawały też pociągi osobowe rozeszła się po pociągu wiadomość, że Niemcy odbierają towar. To wyskoczyliśmy w zaspę. Bo rewizje odbywały się na stacjach. Więc jak pociąg stał przez chwilę przed stacją, trzeba to było wykorzystać. Wszystko się tłoczyło, skakało na łeb na szyję. Jak doszłam do domu, nie czułam rąk i nóg. Potem dowiedzieliśmy się, że też mordują i to mordują w okropny sposób. To Ukraińcy zaczęli dochodzić do głosu. Najpierw to dotknęło mojego wujka. Jechał na targ. Miał olejarnię i sklep. Nie miał żadnych zatrgów ani z jednymi, ani z drugimi. Poważany był. Wszyscy go zatrzymywali, bo coś się szykuje na was. Nie posłuchał. Gdzieś pod Haliczem w polu stała tylko duża stodoła dworska. Tam tych złapanych powciągali i pomordowali. Nie strzelali. Wujek miał odcięty nos, język, oczy wydłubane. Drutem kolczastym byli powiązani. Jak się roznoszą w całej okolicy. Wujek był pierwszy. Dalszej rodzinie już się nic nie stało. Budowali w gnoju schrony i tam się Polacy chowali.

Sąsiadka ze Słobody, Polikowska, przyjechała na zamianę, zdobyć coś dla dzieci. Przyszła do nas. Cała się jeszcze trzęsła, jak opowiadała. Była u jakiejś Ukrainki. Już miała iść na dworzec, gdy jakaś jasność ją obudziła. Płoną chałupy. Gospodyni wpadła. Uciekaj, ale już, bo tu coś strasznego się dzieje. W bieliznie, boso w śnieg. Uciekła. Jak dobiegła do jakiejś stacyjki, to zobaczyła, że ma nogi po kostki czerwone od krwi. Ukraińcy już pod Lwów zaczęli podchodzić, a my na tym przedmieściu mieszkamy. Mama sobie wymyśliła, że wrócimy w jej rodzinne strony, na zachód. Niemcy u nas bywali na kwaterze. I oni tak powiedzieli. Jacyś oficerowie byli, wyjeżdżali na front, a front był już w Tarnopolu i tam się zatrzymał. I oni wrócili do nas, bo byliby z głodu pomarli. Mój dziadek mógł się z nimi dogadać, bo niezle mówił po angielsku. Niemcy straszne rzeczy opowiadali, że we Lwowie będą twierdzę robić, że tu kamień na kamieniu nie zostanie. Więc rodzina szuka możliwości, żebyśmy wyjechali do Gorlic, skąd matka pochodzi. Był znów u nas na kwaterze Niemiec. Dowoził z jednym Ukraińcem żywność na front. Tak więc przyjeżdżał i wracał. Po drodze ta żywność im topniała, bo akowcy korzystali z tej dostawy. Niemiec był ze Śląska, młody chłopak. Oni też to wykorzystywali, że niby samochód był ostrzeżony. Ukraińiec był pozytywną postacią. On tym akowcom pomagał. I moja mama zwróciła się do niego. To było przed świętami Wielkanocnymi 1944 r. Wiozą ten wóz do reperacji za Bug, do Dębicy. No to dalej tego Niemca molestować, żeby nas zabrał ze sobą. Ten się tłumaczy, że nie może, że nie wolno cywilom tam jeździć. Ale jak już drugie bombardowanie Lwowa było w Wielaknoc, tak się moja mama uzięła. I ten Niemiec dał się przekabacić. My i jeszcze jedna rodzina kolegi ojca tydzień po Świętach ładujemy się na ten samochód. Tylko z żywnością i ubraniami. Wszystko zostaje, bo kto by pomyślał, że do Lwowa już nie wróci. Mieszkanie zamknęliśmy na

klucz i w drogę. I znowu cud. On tłumaczy, że koło się trzyma na jednej śrubie. Jak ta śruba pęknie, to my znajdziemy się w rowiem. Tak nas dowieźli za Sądową Wisznię. Po drodze były 2 kontrole. On pokazywał jakieś dokumenty, że do naprawy jedzie z tym wozem. Jak wyjeżdżaliśmy za wieś, zatrzymał się i poszli zobaczyć to koło. Jeszcze parę obrotów i byłoby po nas. Ale oni muszą jechać jeden do Krakowa, drugi do Rzeszowa szukać tej śruby, żeby wóz dowieźć. My nie możemy pójść do wsi, bo ukraińska. Wiadomo, mordują. Kiedy oni wrócą, sami nie wiedzą. Zostajemy w tym wozie niemieckim na przelotowej drodze. W dzień pół biedy. Wozy wojskowe jadą tam i z powrotem i nikt się nie interesuje. W nocy nie ma samochodu, który by się nie zatrzymał. Niemcy oglądają, swiacą, zaglądają do szoferki. A my pod plandeką w przyczepie. I jeszcze dzieci. Usta zatykamy. A Niemcy skrupulatni są przecież. I my tydzień siedzieliśmy na tej szosie. Noc w noc pełno Niemców przy tym wozie i nikt nie zajrzał pod plandekę. Pod koniec ojciec musiał z tym swoim kolegą pójść do wsi, bo żywność się skończyła. Umieli dobrze po ukraińsku, więc poszli ugotować zupę. Oczywiście Ukraińców intrygował ten wóz. Już chcieli iść i pytać. Powiedzieli więc im, że ich szef Niemiec z całą rodziną jedzie do Niemiec, wóz się zepsuł, no i czekają. Uwierzyli czy nie, w niedzielę po mszy całą hurmą z cerkwi przyszli zobaczyć, co to za wóz i co za rodzina. A tu nikt po niemiecku nie mówi. I znów nasz dziadek uratował, wyszedł i po angielsku zaczął mówić. Ci usłyszeli mowę obcą, to się uspokoili i poszli. Dobrze, że nikt z nich nie znał niemieckiego. W poniedziałek przyjechali tamci. Popatrzyli na nas jak na duchy, jakbyśmy zmartwychwstali.

Jesteśmy już w Przemyslu na moście. Przed nami cały szereg zatrzymanych wozów. Już za nami następne. I wszystkie zaraz obsadzone przez żandarmerię. Tylko przez okienko w przyczepie zaglądamy,

ostrożnie, żeby nikt nas nie zauważył, dlatego stoimy. Od razu sobie pomyślałam, że już koniec z nami. Wszyscy jak na komendę modlimy się, bez przerwy różaniec. Widzę, że nie ma żadnej rady. Kierowcy ciurkiem pot płynie. On mówił, że jak nas znajdą, czeka go sąd wojenny, a nas chyba zastrzelą. Po trochę, a trwało to parę godzin zaczęliśmy podjeżdżać na ten most. Czegoś szukali. Bardzo skrupulatnie. Wywracali do podszewki wszystkie wozy. I jak już podjeżdżaliśmy, było tylko kilka wozów przed nami, jakaś czarna limuzyna podjechała. Widocznie coś znaleźli, bo wszyscy się zlecieli do tego samochodu i zaczęli stamtąd mężczyzn jakiś wyciągać. Trochę zamieszania. A przed nami z boku stał taki z blachą. Patrzy na nasz wóz, obserwuje i do kierowcy. Ten pokazuje jakieś papiery, dokumenty. Żandarm powiedział coś do drugiego, po przeciwnej stronie. Ten podszedł, obejrzał tę odkrytą platformę, liżakiem dał ~~xxx~~ znać i przepuścił ten nasz wóz. Jeden jedyny przepuścił i kazał jechać. Nasz Niemiec zatrzymał się za mostem w jakimś lasku i dostał hysterii. Dopiero dał mu w twarz ten kolega ojca, Marian, bo ten długo nie mógł się uspokoić. Tak był przerażony tym, co go mogło spotkać. A my sami nie wiedzieliśmy, czy żyjemy. On miał nas wysadzić za mostem, ale z tej radości zawiózł nas na miejsce. Co się z nim stało, nie wiem. A ten Marian odwiedził nas we Wrocławiu.

Wrocław, 29 X 1988